

Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie.....

Stanisław Jastrzębski
Chorzów
(Wybór i red. I. Kotowicz)

Oko w oko z banderowcami **(Wspomnienia małoletniego żołnierza AK)** **Cz. IV**

Na prośbę stryjenki abym poszedł do wsi i zobaczył co się tam dzieje, wyrząłem najpierw na ulicę i spojrzałem w okna przeciwległego domu, w którym kilka dni wcześniej mieszkał jeszcze zamordowany Zygmunt Jastrzębski. Wszędzie pusto, nigdzie żywej duszy. Nadal jednak było niebezpiecznie i paraliżujący strach unosił się nad całą wsią. W każdej chwili można było natknąć się na banderowca, który penetrował jeszcze czyjeś gospodarstwo.

Ostrożnie wyszedłem z domu. Już na podwórzu stryjenki natknąłem się na zwłoki Mariana Bigusa. Leżał z odciętą głową na miejscu przeznaczonym do rąbania drzewa. Był to półanalfabeta, zatrudniany jako parobek u bogatszych gospodarzy.

Na ulicy dowiedziałem się od jakiejś kobiety, że banderowców we wsi już nie ma, więc coraz śmielej przebiegałem od domu do domu. Wieś tętniąca jeszcze przed kilku godzinami życiem, robiła obecnie wrażenie wymarłej. Na ulicach pusto, tylko zza firanek widać w oknach głowy kobiet i dzieci.

W sąsiedniej zagrodzie leżał ze zmiażdżoną głową Marian Czajkowski. Jego syn Stanisław ukryty w stogu siana o 3 - 4 m od miejsca zbrodni, widział i słyszał jak bandyci rozprawiali się z jego ojcem.

W małej uliczce dotarłem do zagrody Lachowskich. Leżały tu zwłoki kilku osób z rodziny Kopijowskich - Feliksa, jego żony i trzech małoletnich córek.

Na głównej ulicy spotkałem lamentującą matkę Jana i Bolesława Siekierków. Zaprowadziła mnie do mieszkania Pieli-chowskiego, gdzie na podłodze leżeli z odciętymi głowami jej dwaj synowie, 13-letni Bolesław i 19-letni Jan. Ściany pokoju zbryzgane były krwią. Patrząc na rozpacz matki, nie mogłem wydusić z siebie ani jednego słowa. Ukląkłem przy zwłokach, a szloch jej sprawiał, że pękało mi z bólu serce. Mówiła coś szeptem... Nie wiedziałem jak ją pocieszyć, co powiedzieć, więc tylko przygarnąłem do siebie. Wydawało mi się, że za chwilę postrada zmysły. Padła na kolana, zakrywała dłońmi rany na szyi to jednego, to drugiego syna, gładziła ich po twarzy, skłaniała głowę na piersi Bolka, to znowu Janka. W tej pozycji zamarła na kilka sekund, po czym osunęła

się na podłogę obok nich. W milczeniu zaczęła całować skrzyżowane na piersiach ręce synów. Po dłuższej chwili podniosła się, wyko- rzystując moje dłonie jako oparcie. Twarz jej zmieniła się przeraża- jąco. Tej głębokiej rozpacz nie da się opisać. Wziąłem ją pod rękę i wyszliśmy na ulicę. Łzy ciurkiem płynęły po twarzy nieszczęśliwej matki. Prosiła mnie, abym pomógł jej pogrzebać synów.

Ile podobnych tragedii przeżyły matki-Polki na tej ziemi?

Gdy poszedłem w kierunku folwarku, w mieszkaniu Józefa Jastrzębskiego (zwanego "kowalem") natknąłem się na zwłoki Kazimierza Paszczyńskiego, Rudolfa Siekierki i Mariana Wiśniewskiego. Mieli także odcięte głowy i leżeli w obszernej kałuży skrzepłej krwi. Nigdy w swoim życiu nie doznałem takiego przera- żenia. Postanowiłem wrócić do domu stryjenki. Szedłem ulicą jak obłąkany. Na podwórzu Klementowskich zobaczyłem zwłoki ich 22-letniego syna Ludwika. Był to chłopak upośledzony, po pora- żeniu mózgowym. Nawet dla niego te zbiry nie miały litości. Nogi ugięły się pode mną, ręce mi drżały, a skóra na całym ciele pokryła się potem. Byłem u kresu wytrzymałości.

Po drodze ktoś poinformował mnie, że u podnóża Broczowy zastrzelony został Karol Biliński, a Mariana Stryjskiego zamordowa- no obok rzeki, niedaleko jego domu.

Szczególnie utkwily mi w pamięci poćwiartowane zwłoki Kornela i Ludwika Jastrzębskich, leżące u wylotu do zagrody. Mieli rozbite głowy, odrąbane ręce i nogi. Gdyby nie informacja ich najbliższego sąsiada, nigdy bym chłopców nie rozpoznał chociaż z Ludwikiem chodziłem do tej samej klasy. Sąsiad powiedział, że usiłowali się bronić i dlatego zostali tak porąbani. To właśnie ich siostrę Marię zastrzelono kilka tygodni wcześniej na stacji kolejowej w Podszumlańach. Nikt już z tej rodziny nie pozostał, gdyż rodzice zmarli przed wojną.

Nie miałem już sił ani odwagi oglądać zwłok pana Kowalskiego (imienia nie pamiętam), zamordowanego na oczach trzech małoletnich córek obok rodzinnego domu. Jego syn zdołał w ostatnich minutach uciec i ukryć się, ponieważ jemu także groziła śmierć. Nie zdobyłem się też na oglądanie kilku ofiar w tzw. "chatkach". Opowiadała mi żona jednego z zamordowanych, że byli to bracia: Franciszek, Józef i Ludwik Sekuła. Wszyscy byli fernalami w miejscowym folwarku. Im także odcięto głowy.

Mężczyźni, którzy nie doceniali zagrożenia i pozostali tej nocy w domu lub nie zdołali ukryć się odpowiednio, nie mieli szans na ucieczkę.

Gdy dowlokłem się wreszcie do domu stryjenki, byłem w stanie, w którym człowiekowi staje się obojętne co się wokół dzieje.

Wszystkie przytoczone przeze mnie informacje mogą potwier- dzić

żyjący jeszcze świadkowie wydarzeń, byli mieszkańcy Bybła.

Nie był to jeszcze kres tragedii tej wsi. Pozostali przy życiu mieszkańcy zrozumieli wreszcie, że nie ma już na co czekać, że nie ma ocalenia, a mimo to nie potrafili opuścić ojcowizny.

Podobne zbrodnie przybrały nie mniejsze rozmiary także w innych okolicznych miejscowościach. Po skończonym "dziele" w naszej wiosce banderowcy pojechali rozprawić się z Polakami w odległym o 2 km Dytiatynie. Zbrodnię tę opisuję w oparciu o ustną relację mieszkańców, którym udało się ukryć przed toporem "siekiernika". Podobnie jak u nas, i tu ludzie ryglowali na noc okna i drzwi, ustawiali w kącie kosę, lub wynajdywali kryjówki i na zmianę czuwali. Odnotowano wprawdzie pojedyncze przypadki oporu, ale nie uniknięto i tu rzezi. Banderowcy zamordowali w Dytiatynie około 40 osób polskiej narodowości.

Opowiadał mi b. mieszkaniec Dytiatyna Bronisław Malinowski, że szczególnie makabryczny widok przedstawiały zwłoki rodziny Michała Ogonowskiego. Zmasakrowane ciała leżały w studni należącej do zagrody Chudiaka. Michał Ogonowski, szewc z zawodu, nigdy nie zajmował się polityką, nie był też działaczem społecznym. Ledwie potrafił czytać i pisać. Żona jego podobnie. Jeden z jego zamordowanych synów uczęszczał ze mną do tej samej klasy. Nauczyciel zawsze podkreślał, że jest bardzo obiecującym młodzieńcem, posiadał bowiem wybitne zdolności malar- skie. Żał mi, że nie mógł w wolnej Polsce wykazać swoich uzdolnień i wszechstronnej inteligencji. Zbrodni tej, co potwierdziła także p. Mołczan z Dytiatyna, dokonał mieszkaniec wioski i watażka ban- derowski - Stefan Rutko. Już przed wojną uchodził w okolicy za jednego z największych łotrów, wykazujących okrucieństwo w stosunku do polskiej ludności. Po ponownym zajęciu tych terenów przez Sowie- tów w 1944 roku, został rozpoznany i powieszony na dziedzińcu więzienia w Podhajcach za morderstwa dokonane na Rosjanach. Wyrok został powitany przez okoliczną ludność z ulgą. Już dawno zasługiwał na stryczek, szczególnie za morderstwa popełnione w 1939 roku na mieszkańcach wsi Szumlany i Sła- wentyn. Relacje z jego procesu sądowego były wstrząsające. Bandy- ta potwierdził swoje morderstwa na Polakach i Rosjanach. Był sadystą. Z jego to poręki zginęli Józef Jastrzębski i Józef Czyżewski z Bybła, o których już wspominałem.

Pierwszą gehennę przeszedł Dytiatyn jeszcze w 1920 roku. Na jego obrzeżach bolszewicy wymordowali 163 żołnierzy z I Pułku Artylerii Górskiej w Stryju. Rozwydrzona horda bolszewicka najpierw rozbroiła jeńców, rozebrała ich do naga, potem mordowała szablami. Następnie urządziła we wsi bal, "uświec- niony" masowym gwał- tem kobiet. Te, które

się opierały, ginęły na miejscu¹.

Po tych "występach" w Dytiatynie, banderowcy kontynuowali swoją walkę o "samostijną" krwawym dziełem we wsi Boków, odległym o ok. 3 km od Bybła. Tu zamordowali 39 osób. W ich grzebaniu brał udział mieszkaniec Bokowa - Józef Jastrzębski, który w późniejszych latach zrelacjonował mi przebieg wypadków.

Od dłuższego już czasu Polacy z Bokowa gromadzili się na noc w domu p. Szymkowiaka. Umocnili budynek jak się dało, a kilku stało na straży. Dom był murowany i zabezpieczony przed pożarem, drzwi i okna były okratowane. Ludzie sądzili naiwnie, że to twierdza nie do zdobycia. Nie pomogły ostrzeżenia o planowanym napadzie.

Krytycznej nocy, jeszcze przed wschodem słońca, bandyci zaczęli walić w drzwi i domagać się ich otwarcia oraz wyjścia wszystkich osób na zewnątrz. Kiedy to nie skutkowało, podpalili przy drzwiach dużą ilość słomy oblanej naftą i benzyną. Ludzi ogarnął szal. Ponieważ drzwi były zablokowane przez pożar, szukali ucieczki przez dach lub okna strychu. Kobiety zeskakiwały w szoku z dachu wraz z niemowlętami. Ludzie znajdujący się jeszcze na dachu widzieli że ci, którzy zeskoczyli na ziemię byli natychmiast zabijani toporami. Ciała ich wrzucano do ognia lub rozrzucano po podwórzu i na drodze prowadzącej do gospodarstwa. Za chwilę ich samych spotykał ten los. W taki sposób zamordowani zostali: Bronisław Szymkowiak z żoną i synem, Karol Szymkowiak z żoną, dwiema córkami i wnuczką, Ludwik Pilecki z synem i córką. Adam Cewiński z żoną i trzema córkami, i jeszcze kilka osób, których mój rozmówca nie pamiętał.

W całej wsi rozlegały się tego dnia strzały i trwało polowanie na ludzi. Jak później ustalono, morderstw w BOKOWIE oraz we wsiach: MARIANÓW, SŁAWENTYN, KRASNOLESIE i SZUMLANY doko- nała bojówka ukraińskich nacjonalistów **z księdzem greko-katol. ze Sławentyna na czele.**

Wieś CHOCHONIÓW (3 km od Bybła). Relacja Feliksa Pawłowskiego:

W 1944 r miałem 24 lata, więc doskonale pamiętam zajścia. Wieś liczyła przed wojną 280 numerów. UPA zamordowała tu 105 osób z polskich rodzin. Jej członkowie zachowywali się u nas analogicznie jak w innych miejscowościach. W 1941 r. nacjonaści ukraińscy aresztowali młodych Polaków, przeprowadzali rewizje osobiste i w zagrodach, potem torturowali aresztowanych w miejscowym areszcie, a następnie w Bołszowcach. W 1943-1944 miały miejsce masowe mordy, bez względu na płeć i wiek ofiar. Mężczyznom obcinano głowy, żywe dzieci nabijano

¹ Data bitwy pod Dytiatynem w 1920 r. upamiętniona została na tablicy przy Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie. (S. J.).

na sztachety. Hańbiące były morderstwa kobiet.”

c.d.n.

Hipolit Chojecki
Warszawa

Zanotowane przed 55. laty...

- Za parę dni pojedę do Poznanki², powiedział ojciec do matki bardzo podniecony po powrocie ze Lwowa.

- Do Poznanki? Jak? Z kim? - pytała z niedowierzaniem matka. A ja z bratem nastawiliśmy ciekawie uszu. Ojciec tymczasem zaczął rozpakowywać przywiezione z miasta zakupy, celowo zwlekając z odpowiedzią aby zaostrzyć naszą ciekawość. W końcu zaczął opowiadać...

Mówiłem wam przed paru dniami, że przyjechał z Krakowa dr Chutkowski z zamiarem udania się do swego folwarku w Poznance. Ma on w Krakowie szerokie znajomości wśród nowych władz. Teraz właśnie wykorzystał znajomość z pułkownikiem gestapo, zabrał go ze sobą i zawiózł do Poznanki. Gdybym był we Lwowie, zabrałby mnie także. Ale chyba dobrze się stało, że nie pojechałem z nimi, bo narobili tam brewerii.

Nacjonaliści ukraińscy z sąsiedniego Hlibowa³ zamordowali w Poznance 9 Polaków⁴. Gestapowiec po przyjeździe z Chutkowskim do wsi kazał rozkopać ich groby. Straszny to musiał być widok, skoro doprowadził do szału nawet Niemca przyzwyczajonego do widoku krwi. Niemiec fotografował pomordowanych. Były to ciała bez uszu, bez nosów, bez oczu. Niektórzy w miejscu głowy mieli bezkształtną masę obwiązaną chustką, aby wszystko się nie rozpadło. Jedna ofiara miała brzuch ściągnięty pasem, aby wnętrzności nie wypłynęły na zewnątrz.

Cała wieś była obecna przy tych oględzinach. Rodziny ofiar z jękiem rozpaczry rzucały się na trumny. Jedna z kobiet znalazła w grobie trzech

² Polska wieś w pow. Skałat. Pełna nazwa - Poznanka Hetmańska. (Przyp. red.).

³ Wieś w pobliżu Grzymałowa, w sąsiedztwie Poznanki. W Hlibowie zasiadał w "sądzie rewolucyjnym" miejscowy proboszcz greko-kat. ks. KORDUBA, ferujący wyroki śmierci po torturach. (Za Blicharskim: "Petruniu ne ubywaj mene", s.133. (Przyp. red.).

⁴ Ks. Anczarski podaje, że w lipcu 1941 r. zamordowano w Poznance 10 Polaków. (Przyp. red.).

swoich synów⁵. Inna - żona tego Władka, który służył w folwarku - przyszła z czworgiem małych dzieci i głośno zawodziła: *co ja teraz będę z nimi robiła?* A jej najstarszy 4-letni synek, gdy zobaczył zmasakrowane ciało ojca, rzucił się na nie z rozdzierającym krzykiem: *Tato! Tato!* Trudno to było znieść nawet najbar- dziej opanowanym.

Gestapowiec pytał ludzi, kto był wójtem we wsi gdy działy się te straszne rzeczy? Powiedzieli, że Bidowaniec.

- Ten Ukrainiec, który mieszkał za wsią? zapytała matka.

- Tak, ten sam. To właśnie jemu podobały się karykatury Polaków w bolszewickim wydaniu, gdy ty byłaś w Poznance - przypomniał ojciec.

- Tak, rozparł się wtedy w fotelu - mówiła matka - i zapytał: *Pani, czy wony wam podobają się, bo meni duże.* O, to była hadiuga (gad) - oceniła Bidowańca. A ojciec dorzucił: *mnie on także powie- dział gdy przyszli bolszewicy: Teper nechaj Polaky czekajut tysiaczu lit na swoju Polszczu.* Powtarzał też wielokrotnie: *Jak świt świtom ne bude Polak Rusynowy bratom..*

Potem ten niemiecki oficer - kontynuował ojciec - kazał Bido- wańca przywołać. Pobiegli po niego chłopcy z poleceniem, aby się natychmiast stawili. Ale Bidowaniec zachował się hardo: *kto ma do niego sprawę, ten wie gdzie ma go szukać. A ten gestapowiec niech się przed nim wpi- erw wytłumaczy, kto mu pozwolił rozkopy- wać groby.* - Ludzie wszystko to Niemcowi powtórzyli, ten zaś ze wściekłości aż się zatrząsł. Wszedł jednak do samochodu i pojechał do wójta. Tam porządnie go obić i przywiózł do wsi. Baby zaczęły od razu wykrzykiwać: *Ty morderco! To ty pomordował naszych synów!* - i obrzucały go różnymi innymi wyzwiskami. Wszystkiego tego oficer wysłuchał, a na koniec wpadł w szal i zaczął bić Bidowańca, aż ten upadł na ziemię zalany krwią. Potem wyciągnął rewolwer i chciał go zastrzelić, ale dr Chutkowski powstrzymał. Wtedy Niemiec dał ludziom pół godziny czasu, aby zrobili z wójtem co im się podoba. Nikt we wsi jednak nie chciał przykładąć ręki do zbrodni. Ludzie powiedzieli, że ukarać Bidowańca może tylko władza, oni tego nie robią.

- Szkoda, że go nie zabili - skwitowała matka.

- Przeciwnie, bardzo dobrze się stało - zaoponował ojciec. - Gdy- by to zrobili, okazaliby się takimi samymi bandytami jak ci z Hlibowa. Bardzo się to Niemcowi podobało, i ponownie chciał wójta zastrzelić. Ale i tym razem Chutkowski go powstrzymał. Ludzie prosili Niemca jedynie o to, aby "uspokoił" Hlibów, ponieważ tamtejsi Ukraińcy mogą się na Poznance zemścić. Już i tak od kilku tygodni nikt w domu nie spał, chowali się nocami po polach.

Niemiec obiecał sprawę załatwić. I załatwił ją po swojemu. Pojechał

⁵ Najprawdopodobniej byli to: Jan Wojna i jego dwaj bracia. (Cz. Blicharski na s.129 podaje sześć nazwisk ofiar - przyp. red.).

samochodem do Hlibowa, poodbierał ukraińskim policjantom broń, a przy okazji sprzął ich po gębach. Poznance zaś obiecał przysłać kilku żołnierzy do obrony. Potem ogłosił całej wsi, że przyjedzie tu dyrektor (czyli mój ojciec - H. Ch.) by odebrać folwark i gospodarować na nim. Wieś natychmiast zgodziła się oddać wszystko co z folwarku zagarnęła, a dr Chutkowskiemu naznosił tyle żywności, że nie mógł tego wszystkiego zabrać, i pojechał do Lwowa. Właśnie dziś go tam spotkałem. Powiedział mi - zakończył relację ojciec - że teraz wyjeżdża do Krakowa, za tydzień wraca i zabiera nas ze sobą.

Minęło kilka dni, w czasie których staraliśmy się pozatapiać ważne sprawy domowe przed spodziewanymi przenosinami na wieś. Cieszyliśmy się już z góry z tej zmiany licząc, że skończy się okres półgłodu, który towarzyszył nam od dwóch miesięcy. Może będzie można żyć nie troszcząc się o to, co będziemy jeść jutro na obiad, a mamusia dostanie pomoc domową i poczuje się zdrowszą, gdy ogrom prac domowych przejmą inne ręce.

W takim to optymistycznym nastroju minęły pierwsze dni tygodnia. Nadszedł piątek. Rano odwiedził nas jeden z mieszkańców Brzuchowic, gdzie wówczas przebywaliśmy. W rozgrywających się w Poznance wydarzeniach - z oficerem gestapo w roli głównej - brał także udział. Potwierdził to wszystko co ojciec usłyszał we Lwowie, a ponieważ pozostał jeszcze we wsi po wyjeździe pana Chutkowskiego i Niemca - dopowiedział nam dalszy ciąg historii.

Niemiec wyjeżdżając z Poznanki do Lwowa wstąpił po drodze do Tarnopola, gdzie odpowiednie władze okupacyjne - na skutek tej interwencji - nakazały policji ukraińskiej z okolic Poznanki zapewnić wsi bezpieczeństwo. Już tego samego dnia pod wieczór zaczęły zjeżdżać do wsi furmanki pełne uzbrojonych policjantów. Można sobie wyobrazić przerażenie mieszkańców, którzy widzieli w tym zemstę za pobicie kilku policjantów w Hlibowie i wójta-Ukraińca. A policja tymczasem, nie opowiadając się nikomu, rozlokowała się we wsi.

Praktykowanym od tygodni zwyczajem, ludzie zaczęli wymykać się pojedynczo z domów w pole. Inni, dla których niepostrzeżone wymknięcie się było niemożliwe, szukali schronienia na drzewach. Na drzewie znalazł się także nasz brzuchowianin w towarzystwie dwu innych mężczyzn, którzy już przed nim wybrali je na swoje schronienie. Niestety, jedna z grup wartowniczych pod tym właśnie świerkiem rozlokowała się na odpoczynek. Nie czas było naszym trzem bohaterom na drzewie rozmyślać o wzniosłych sprawach pod usianym gwiazdami niebem, gdy lufy policyjnych karabinów mogły skierować się w ich stronę za łada szelestem. Siedzieli przez pewien czas spokojnie, ale wnet jednemu chciało się zakasłać, innemu groziło złamanie się gałęzi, ciągle coś zmuszało do poruszania się. Tymczasem "obrońcy" pod drzewem

zaczęli rozmowy, aby skrócić wlokące się godziny nocy. Jeden z nich prze- klnął gorzki los, który zrządził, że oni - Ukraińcy muszą ochraniać na swojej ziemi Lachów przed... Ukraińcami.

W tym momencie nasz znajomy zrozumiał pomyłkę, i uważając dalszy pobyt na drzewie za zbędny, zeskoczył na ziemię. Dwaj pozostali usadowieni wyżej, nie słyszeli rozmowy policjantów. Inaczej też zrozumieli porzucenie drzewa przez niedawnego towarzysza, a że strach zupełnie odebrał siły ich mięśniom - spadli na ziemię jak szyszki. Nie mogę orzec, kto był bardziej przestraszony: czy "skoczkowie" spodziewający się rychłej śmierci, czy "szlachetna" warta, wyrwana w tak nagły sposób ze swoich dalekosiężnych politycznych rozważań na temat losów wojny i samostijnej "derżawy". Incydent zakończył się wyjaśnieniami i pozwoleniem udania się do domu na spokojny nocleg.

Była już popołudniowa godzina, gdy znajomy opuścił nasz dom. Ojciec wyszedł by go odprowadzić i w tym momencie przybiegł do nas jakiś elegancko ubrany młody człowiek z informacją, że przed domem czeka w samochodzie dr Chutkowski aby nas zabrać do Poznanki....

c.d.n.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Śp. Adam SNARSKI

ur. w 1924 r. w Czortkowie. Kolega z gimnazjum. Młodość spędził na zesłaniu w Kazachstanie, potem w PSZ na Zachodzie, jako żołnierz 6. Pułku Pancernego "Dzieci Lwowskich". Uczestniczył m. in. w bitwie o Monte Cassino.

Po wojnie osiedlił się w Nowej Zelandii, pracował w bankowości.

Polskę odwiedził po raz pierwszy latem 1984 r. głęboko przeżywając spotkanie z Czortkowianami i rozmowy o rodzinnych stronach.

Na obczyźnie zawsze interesował się życiem Kraju. Planował powtórne odwiedziny., a my nie wiedzieliśmy, że był już poważnie chory.

Zmarł 8 sierpnia 1998 r. w Wellington, w Nowej Zelandii.

Śp. Krystyna CELIŃSKA - WOJCIECHOWSKA

ur. w 1921 r. w Czortkowie. Harcerek. Absolwentka Gimnazjum im. J. Słowackiego w Czortkowie (1939 r.).

Po wojnie osiedliła się w Tarnowie, gdzie zmarła i została pogrzebana w dniu 1 września 1998 r.

Eta (Tuśka) MORGENTHAL - SCHWARZ

ur. w 1923 r. w Czortkowie. Uczęszczała z nami do gimnazjum. Uratowała życie uciekając z miejscowego getta. Po wojnie osiedliła się z mężem (kolegą gimnazjalnym) w Stanach Zjednoczonych.

Po 1990 roku odwiedzała Polskę kilkakrotnie, a koleżeńskie spotkania przeżywała głęboko. Była wiernie i gorąco przywiązana do rodzinnego miasta, mimo przeżytej tam tragedii. Zachowała poprawny polski język i wdzięczną pamięć o Małej Ojczyźnie.

Żegnamy Was Wszystkich ze smutkiem
Koleżanki i Koledzy - Czortkowanie.

Śp. ppor. AK Stanisław MUSZYŃSKI ps. "Vickers"

Ur. w 1916 r. w Zalesiu, pow. Borszczów.

Podoficer broni pancernej we Lwowie. W czasie okupacji żoł- nierz AK, z-ca komendanta KEDYWU Inspektoratu AK Czortków. Więzień okresu stalinowskiego.

Odszedł żarliwy patriota, ofiarny i odważny żołnierz, prawy człowiek. Zmarł 3 października; pogrzeb odbył się 5-go.

Żegnają Go ze smutkiem Towarzysze broni
i Przyjaciele - Czortkowanie

Wspomnienie o Adasiu Snarskim (List Małżonki do Prezes Klubu)

Szanowna Pani,

z wielkim żalem zawiadamiam, że zasnął w Panu, spokojnie w szpitalu 8 sierpnia br. mój mąż Adam.

Żmudnie i cierpliwie przepychał się przez chorobę. Był ciężko chory, ale zawsze była ta nadzieja, że proces da się zatrzymać. Walczył z chorobą przez cztery lata.

Kochał ludzi, przyrodę, cały świat i wszędzie umiał znaleźć dobro i piękno.

Chciałam Pani wyrazić moją głęboką wdzięczność za gościnność jakiej doznał będąc w Warszawie. Te dni spędzone w otoczeniu przyjaciół były prawdziwym duchowym i fizycznym odpoczynkiem dla Niego, bo przecież był już chory. Ale nigdy nie narzekał.

Dziękuję również za pamięć, listy oraz "Głosy Podolan". Czytał do ostatniej chwili i zawsze brakowało mu na wszystko czasu.

Kochał bardzo Czortków i Kołędziany i zawsze powtarzał: *Jeśli moje prochy muszą spocząć w gościnnej Nowej Zelandii, to serce i duch pozostaną na mojej ojczystej ziemi.*

Pozostała straszna pustka w domu....

LISTA OFIARODAWCÓW

(na działalność związaną z wydawaniem biuletynu)

1. Marian Czajkowski	Brzeg	21.00 zł
2. Maria Jastrzębska	Szczecin	10.00 zł
3. Stefania Madej	Kraków	20.00 zł
4. Maria Moroz	Miejsce Piastowe	100.00 zł
5. Zygmunt i Edward Śniechowscy	Anglia	50.00 zł
6. Józef Ruczyński	Warszawa	13.00 zł

Wszystkim Ofiarodawcom serdecznie dziękujemy.

DROGIM CZYTELNIKOM

*Zdrowych i Spokojnych Świąt Bożego Narodzenia
wiele dowodów pamięci najbliższych
życzliwości przyjaciół
i dobrego samopoczucia
w Nowym 1999 Roku*

- życzy Redakcja

*Irena Sarnecka - Derkacz
Warszawa*

PRZY SZOPCE

*Na żłóbeczku aura srebrna
promienista, rozproszona.
Przy żłóbeczku postać zwiewna
zasłuchana, zapatrzona.*

*A w żłóbeczku są pieluszki
śliczna główka w ciemnych włoskach.
Małe rączki, drobne nóżki
rzęsą skryte senne oczka.*

*Nad żłóbeczkiem gwiazda świeci,
sieje blaskiem w śnieżną ciszę.
Zobaczyli ją poeci,
już kolędą się kołysze.*

*Bóg co kiedyś zszedł na Ziemię
i proroków głos daleki,
Echem cudu w Betlejemie
mówi do nas poprzez wieki.*

*Podnieś rączkę Boże Dziecię
nad tym polskim skrawkiem świata.
W lepszej doli w prostszym bycie
niech szczęśliwsze płyną lata.*

*Pobłogosław ziemię całą
rozśpiewaną kolędami
By się p r a w d a ciałem stała
i mieszkała między nami.*

Irena Sarnecka - Derkacz

Warszawa

GRUDZIEŃ

*Mlecznym niebem mkną szare obłoki.
Zawirował z wiatrem welon śniegu.
Po zmarzniętej grudzie dudnią kroki,
Rok umyka w krótkich dni szeregu.*

*Dachy domów pojaśniały w bieli.
W śnieżne czapki strojne płotów deski.
Świat zasypia w puszystej pościeli,
Dzień się kończy, a zmrok jest niebieski.*

*Zagajniki świerkowej zieleni,
Targ choinek wszędzie rozpościera.
Sąsiad swoją już postawił w sieni,
Drugi chodzi i jeszcze wybiera.*

*Z pierwszą gwiazdą w wigilijnej ciszy,
Gdy choinki zapłoną w mieszkaniach
Kto chce słuchać, napewno usłyszy,
Mikołaja dzwoneczek przy saniach.*

*W blasku świeczek, pod świątecznym
drzewem,
Oniemiałe odezwie się serce,
Kolędowym, lirycznym zaśpiewem,
Odpowiedzą dzwony na pasterce.*

*Wtula grudzień swoje długie noce
W ciepłą czułość i nadzieję nową.
Życzeniami w zimowej pomroce,
Bije zegar północ sylwestrową.*

Jan Hrymniak
Warszawa

Niezapomniane strony rodzinne **Ziemia Czortkowska** **Cz. II.**

Pani Wołoszyńska mieszkała w Wawrynowie. Idąc do szkoły przepływała łódką Seret, a dalej szła pieszo wzdłuż brzegu rzeki. W dniu niepogodne przyjeżdżała do Białej furą. Nauczycielka Grabowska mieszkała w Czortkowie między Seretem a stacją kolejową. Miała syna Tadeusza, który uczęszczał do gimnazjum. Pan Dudziński mieszkał w Białej, po drugiej stronie Seretu, bliżej mostu. Do szkoły przychodził pieszo. Nie pamiętam jak sobie radził, gdy zamiast mostu był tam jedynie bród.

Najserdeczniej wspominam panią Tyńcę Wołoszyńską, gdyż dzięki niej jestem pewnie dziś tym, kim jestem. Gdy ukończyłem 5-tą klasę, właśnie ona nakłoniła moją Matkę abym ukończył w Czortkowie 7-klasową szkołę. Sama zapisała mnie nawet do męskiej "ćwiczeniówki"⁶ na Dolnej Wygnance, w pobliżu zamku. Po ukończeniu przeze mnie tej szkoły, p. Wołoszyńska dopingowała mnie do składania egzaminu wstępnego do gimnazjum. Chętnie się temu dopingowi poddałem.

W czasie wysiedlania nas z tamtej ziemi, p. Wołoszyńska wyjechała na Ziemię Zachodnie. Już nie żyje. Kilkakrotnie spotykałem się z jej bratem, inżynierem kolejowym pracującym we Wrocławiu. (Spoczywa na cmentarzu w Kędzierzynie). Nic nie wiem o p. Dudzińskim i jego rodzinie. Państwo Antochów w ostatnich latach mieszkali w Czortkowie, po wojnie krótko w Bochni, a później pracowali w Gdańsku-Wrzeszczu. W ostatnich latach swego życia owdowiła pani Bronisława mieszkała w Warszawie, i brała czynny udział w pracach Związku Nauczycielstwa Polskiego. Pochowana została na cmentarzu w Ursusie, wraz z bratem Marianem Wakalskim - profesorem Politechniki Warszawskiej.

Najbardziej prężną organizacją, zrzeszającą młodzież obu płci, był w Białej w latach 30-tych Związek Strzelecki. W latach 1935-1937 zorganizowałem we wsi, z Marianem Grocholskim, duży zastęp harcerski - jako część drużyny usytuowanej przy konwencie OO. Dominikanów w Czortkowie. Jej drużynowym był Kazimierz Smoła, zwany popularnie

⁶ Szkoła powszechna na dobrym poziomie nauczania, w której słuchacze starszych kursów Seminarium Nauczycielskiego przeprowadzali lekcje szkolne, jako praktyczne przygotowanie do przyszłego zawodu. (Przyp. red.).

“Kajo”⁷. W Białej zorganizowani byli w harcers- twie wszyscy chłopcy, którym wiek nie pozwalał jeszcze na wstąpie- nie do “Strzelca”. Jednym z nich był Marian Pełechaty (wspomi- nany w naszym biuletynie jako dzielny żołnierz KEDYWU AK.). Zastęp harcerski w Białej uległ samolikwidacji z chwilą, gdy pod- jąłem pracę w gminie i wstąpiłem do “Strzelca”, a Marian Gro- cholski poszedł w 1939 roku do wojska.

Bardzo intensywnie pracowaliśmy z Marianem nad naszą młodzieżą. Oprócz zwykłych zbiórek, musztry, podchodów w lesie itp. dużo im opowiadaliśmy o Polsce, jej chwale za Piastów i Jagiel- lonów, o rozbiorach i o długoletniej niewoli, o odzyskaniu niepod- ległości. Uznanie należy oddać nie tyle nam, jej wychowawcom, ile młodzieży. Były to umysły chłonne, ciekawe świata i historii. Na- szym obowiązkiem było uzupełnić ich wiadomości i pobudzić świadomość narodową. Pamiętam kilku takich chłopaków: Piotra Zarosińskiego, Mariana Pełechatego, Grochowicza, dwóch Kuni- ków. Była tego spora gromadka, lecz także rozbiegła się po świecie. Mając tak poważne zadania społeczno-wychowawcze, choć mie- liśmy dopiero po 16-17 lat i sami jeszcze potrzebowaliśmy pomocy i wychowania, potrafiliśmy zadaniu sprostać.

Zapamiętałem z tamtych czasów taki obrazek: Uroczystość z okazji rocznicy 3 Maja. Defilada w Czortkowie. Braliśmy w niej udział, i chłopcy wyczyszczeni, wyszorowani stawili się na zbiórkę jak w wojsku. Mieli na sobie cywilne ubrania, tylko czapki harcer- skie i zuchowate miny. Na harcerskie mundurki nie było na razie wszystkich stać, a nie chcieliśmy by wyglądali jak “zbieranina”. Zebraliśmy od widzów w czasie przemarszu duże oklaski, którym towarzyszyło gromkie “hurra”!

W latach 30-tych powstało w Białej także prężne “amatorskie kółko teatralne”. Początkowo prowadzone było przez nauczyciela Adama Dudzińskiego, potem przez kierownika szkoły Mikołaja Antochowa. Kiedy w 1935 roku sam zacząłem brać udział w pra- cach tego kółka, nasi szkolni opiekunowie zaczęli się wycofywać, przekazując nam, młodym zapaleńcom, “teatralną pałeczkę”. Trzeba przyznać, że nie wpłynęło to wcale na obniżenie poziomu imprez.

Co graliśmy? Repertuar musiał być dostosowany do wymagań publiczności: albo smutny, albo “łzawy” (wzruszający), albo wesoły. Na szczęście w ówczesnych księgarniach i bibliotekach nie brako- wało odpowiednich utworów, więc trudności w wyborze nie było. W ciągu roku opracowywaliśmy od 3 do 5 przedstawień, w tym obo- wiązkowo

⁷ Ppor. rez. piech., żołnierz AK, ps. “Grom”, “Zawierucha”. Był d-cą 1 kompanii AK Obwodu Czortków; kierował szkoleniem w konspiracyjnej Szkole Podchorążych Piechoty; od lutego 1943 r. wchodził w skład konspiracyjnej Komendy Hufca Harcerskiego. (Przyp. red.).

“jasełka”.

Większość pracy spadała na mnie: dobranie sztuki, rozpisanie ról, i - wespół z innymi - dobranie do nich aktorów. To ostatnie nie było łatwe, i nie dało się uniknąć niezadowolenia, dąsów i gry- masów. W końcu dla dobra sprawy wszystko udawało się przeprowa- dzić i pozostawiało wyuczenie się ról na pamięć, przeprowa- dzenie prób oraz przygotowanie strojów. Każdy aktor przygoto- wywał je sam dla siebie. Podkreślić jeszcze trzeba warunki w jakich pracowaliśmy. Nie było oświetlenia elektrycznego, wszystko odby- wało się po pracy, wieczorami, przy lampach naftowych. Najtrud- niej było zapewnić właściwe oświetlenie na scenie i za kulisami, oraz w ogromnie ciasnych “garderobach”. Zawsze istniało realne niebezpieczeństwo zaprószenia ognia, toteż towarzyszyli nam zwykle strażacy. Na szczęście obyło się bez wypadku.

Nasze teatralne występy nie ograniczały się do rodzinnej miejscowości. Wyjeżdżaliśmy także furmankami, w zimie sałmami, do okolicznych wsi, w których mieszkało więcej Polaków, a więc do Skorodynec, Białobożnicy, Byczkowiec. Wszędzie byliśmy gorąco witani, a po przedstawieniu odbywała się z reguły zabawa tanecz- na dla wszystkich. Po takiej imprezie wracaliśmy do domu nad ranem, i zaraz szło się do pracy, a w niedzielę do kościoła. gdzie śpiewaliśmy w chórze. Była to praca społeczna, nikt nie otrzymywał wynagrodzenia, a pieniądze uzyskane ze sprzedaży biletów przez- naczyliśmy na budowę polskiego Domu Ludowego, którego Biała nie posiadała. Wynajmowanie sali było kosztowne i nie zaspaka- jało naszych potrzeb “bycia u siebie”. Nasze spotkania, próby i zajęcia “Strzelca” odbywały się dotychczas w szkole. Muszę dodać, że oprócz dochodów z imprez, rodziny polskie we wsi opodatkowały się dobrowolnie (na ile było kogo stać), aby jak najszybciej wybu- dować Dom Ludowy.

Przedstawienia musiały być realistyczne. Np. do jasełek “wypo- życzaliśmy” od znajomej mamy małe dziecko (płeć była obojętna) i układaliśmy je w pieluchach w żłobku na sianie. A kiedy śpiewa- liśmy “Podnieś rączkę Boże Dziecię, błogosław Ojczyznę miłą”, oso- ba grająca rolę Matki Boskiej brała rączkę dziecka i kreśliła nią znak krzyża. Ta scena bardzo się wszystkim podobała, a mama dziecka była zachwycona, że ma takiego “aktora”.

Było nam wszystkim z tym radośnie i wesoło. Nie znaliśmy nudy, nie potrzebna nam była dyskoteka.

W roku 1938 budowa polskiego Domu Ludowego została ukończona. Został uroczystie poświęcony i oddany do użytku. Po- siadał salę widowiskową, pokoje do prób teatralnych i na różnego rodzaju zebrania (np. Kółka Rolniczego, Kasy Stefczyka). Prócz przedstawień organizowaliśmy tu uroczystości z okazji świąt pań- stwowych - 3 Maja i

11 Listopada - i przygotowywaliśmy dożynki. Te ostatnie odbywały się w Czortkowie na dziedzińcu zamkowym, w obecności starosty i innych dostojników powiatowych. W przygotowaniach do nich pomagała niezapomniana pani Bronisława Antochów (z domu Wakalska), nauczycielka i żona ówczesnego kierownika szkoły.

Jak już wspomniałem, Biała zamieszкана była przez ukraińską większość. Nie wiem skąd wzięło się u nich tyle nienawiści do Polaków. Zamordowali lub spalili żywcem tyle niewinnych ludzi. Gdy dziś rozpatruję ten problem, to winię za zbrodnie nie tyle ludzi prostych, zwykłych zjadaczy chleba. Motłoch potrzebuje przywództwa! Więc znaleźli się tacy co ten biedny naród zwiedli, otumanili i popchnęli do ludobójstwa. To założyciele i organizatorzy OUN i UPA. To oni są przede wszystkim winni i oni będą odpowiadać przed Bogiem, jak również ich zwolennicy a niekiedy wręcz wykonawcy - księża grekokatoliccy. Dla przykładu podam fakt przekazany mi przez moją Matkę. Otóż pewnej niedzieli ksiądz w Białej, niejaki baťko Czechowskyj, wołał z ambony cerkiewnej do swoich wiernych : *Przynoście do cerkwi widły, kosy, siekiery i co tam macie ostrego, ja wam to będę święcił, żeby służyło do zabijania Lachów.*

Jeszcze w latach komunizmu (w latach 50-tych) zostałem zaproszony do Białej wraz z rodziną. Po namyśle postanowiłem pojechać w licznym towarzystwie: z żoną, córką i małym wnukiem. Przebywaliśmy we wsi kilkanaście dni, więc wieść o naszej wizycie rozniosła się szybko i szeroko. Zaczęli nas odwiedzać byli sąsiedzi oraz różni znajomi z Białej i Czortkowa. Zapytano mnie pewnego razu, czy chciałbym spotkać się z dawnym kolegą szkolnym z Białej. Nie bardzo orientowałem się o kogo chodzi. Był to niejaki Ilko Malowanyj. Przed spotkaniem poinformowano mnie , że Ilko był banderowcem, przebywał w bandzie i z pewnością niejedno ma na sumieniu.

Gdy sowieci ponownie weszli na Podole w 1944 roku, Ilko - jak mówiono - sam wymierzył sobie karę. Mianowicie przesiedział w schronie, wybudowanym w pobliżu domu za czasów "banderowszczyzny" - 22 lata. Ujawnił się dopiero wtedy, gdy sowieci ogłosili amnestię. Był sądzony (w naszym dawnym Domu Ludowym), ale sowieci uwolnili go od kary orzekając, że sam ją sobie wymierzył.

Wyraziłem zgodę na spotkanie, powodowany raczej ciekawością jak taki człowiek wygląda, i jak może patrzeć ludziom w oczy, zwłaszcza mnie - Polakowi. Przyszedł po kilku dniach, pochwalał Boga, i stanął przede mną. Był bardzo wysoki i bardzo blady, niemal kredowo biały, mimo, że wiele już miesięcy przebywał na powietrzu. W pierwszej chwili nie poznałem go, w niczym nie przypominał tamtego 11-lątka ze szkoły.

Gdy usiadł, zapytałem go wprost - za co wymierzył sobie taką karę? Nie pytałem ilu ludzi zamordował, ani gdzie to było? W odpowiedzi usłyszałem: *-No, wiesz czysty to ja nie byłem, a ruscy to by się ze mną nie bawili. Myśla- łem, że to nie potrwa długo, więc przeczekałem. Widzisz - to wszystko wina naszych prowidnykiw. To oni obiecywali nam wolną Ukrainę, zachęcali do mordów, a potem uciekli za granicę. A my zostaliśmy, i cierpimy za własne i ich winy.*

Przegadaliśmy niemały czas. Z rozmowy wywnioskowałem, że żałuje tego co się stało, ale.... czy nie powtórzyłby wszystkiego jesz- cze raz gdyby mu prowidnyk nakazał? Tego do dziś nie jestem pew- ny.

W czasie mojej wizyty w Białej wydarzył się ponury mord na poruczniku Wojska Polskiego, który - jak i ja - przyjechał z Polski w odwiedziny do znajomych w jakiejś wsi w okolicach Dżuryna. Wieczorem, gdy wszyscy siedzieli przy stole, padł przez okno śmiertelny strzał. (Podobno była to zemsta? Podobno ojciec ofiary naraził się kiedyś zabójcy?). Zwłoki oficera wystawione zostały przez sowietów na widok publiczny w sali dawnego "Sokoła" w Czort- kowie, a potem przewiezione do Polski.

Od tego dnia, aż do końca naszej wizyty w Białej gospodarz sadzał nas przy stole w kącie pokoju, a na progu siadał mój znajomy - Szczepan Balicki, który w ramach akcji "łączenia rodzin" wyjechał później do Polski i zamieszkał w Jeleniogórskim.

c.d.n

*Jadwiga i Zbigniew Orszulakowie
Poznań*

Nasz "Skałacki Teatr" w latach 1944 -1945

Trudno po upływie pół wieku odtworzyć pełne dzieje "Kółka Dramatycznego", w którym uczestniczyliśmy w Skałacie. Z upływem lat pewne szczegóły uleciały z pamięci, inne natomiast obrosły w jakieś wyidealizowane otoczki. Podzielimy się więc tym, co zapamiętaliśmy z naszej działalności kulturalnej między wrześ- niem 1944 - a majem 1945 roku.

Działalność ta, zainicjowana - jak przypuszczamy - świadomie, z poczucia patriotyzmu przez nauczycieli skałackich, objęła mło- dzież, która została w mieście po wcieleniu do Wojska Polskiego wszystkich

18-latków. Trzeba było bowiem utrzymać w niej jakieś zainteresowania pozaszkolne, atrakcyjne dla 14-17-latków, by równocześnie uchronić przed niebezpiecznymi pokusami.

Pragniemy przede wszystkim podkreślić wielkie zasługi pana prof. Karola Jocha, który potrafił zachęcić i zmobilizować młodzież do takiej działalności. Nie szczędząc sił, czasu i cierpliwości, zdołał w tych ciężkich okupacyjnych warunkach ożywić kulturalne życie polskiego Skołatu. Sam prof. Joch był uciekinierem z Krzemieńca. Uciekł stamtąd wraz z rodziną, i po zmianie nazwiska osiedlił się w Skołacie. Był nauczycielem i wielkim społecznikiem. W polskiej szkole uczył języka polskiego i historii. Mimo ciężkich domowych warunków materialnych, wiele czasu poświęcał na podtrzymanie kultury polskiej podczas drugiej okupacji sowieckiej.

Jakim cudem udawało mu się zdobywać materiały do charakteryzacji, rekwizyty teatralne, stroje? Te ostatnie nie zawsze były może wierne, np. Jadzia L. tańczyła czardasza mając na głowie egipski fez, ale nie to było istotne. W zdobywaniu rekwizytów i strojów brała udział cała młodzież, przetrząsając strychy swoich rodziców i dziadków. Do tańców ludowych mogliśmy korzystać z pięknych strojów, jakie można było pożyczyć od polskich rodzin z Nowosiółki i Starego Skołatu. Może nie były to stroje odpowiednie do kujawiaka, oberka czy trojaka, ale były to polskie stroje ludowe, typowe dla naszego regionu.

Wracając do prof. Jocha, podziwialiśmy jego zdolności, był wszystkim: kierownikiem zespołów, choreografem, aranżerem, reżyserem, scenografem, charakteryzatorem, wreszcie suflerem. Poma- gał mu trochę Jan Daszkiewicz (Jaśko), który prowadził chór rewe- lersów.

Wszystko zaczęło się od zespołu tanecznego. W programie był kadryl, menuet, polskie tańce ludowe, taniec białoruski i czardasz. W miarę powodzenia - rósł apetyt, toteż w następnym etapie dzia- łalności znalazły się jeszcze skecze, monologi i chór rewelersów. W ich repertuarze znalazły się piosenki z przedwojennych filmów oraz piękna wiazanka pieśni patriotycznych, kończąca się naszym hymnem narodowym.

Pamiętamy, jakie wrażenie wywarła ta wiazanka na licznie zgromadzonej publiczności, jakie wyciskała łzy z polskich oczu. Nawet my, śpiewający nie byliśmy wolni od silnych wzruszeń. By- wały momenty, że głos wiązał w gardle, oczy mgłą zachodziły i mrowie przebiegało po plecach...A jak zaskoczeni byli Sowieci! Ale uszło nam to płazem, wszak byliśmy wówczas już "sojuźnikami". (!).

Chór rewelersów (i nie tylko!) był zasługą Jaśka Daszkiewicza. Nie tylko - ponieważ już wcześniej prowadził młodzieżowy chór kościelny (podczas okupacji niemieckiej, a potem w czasie drugiej okupacji sowieckiej), pozostający pod opieką ks. katechety Józefa Lisowskiego.

Prowadził Jasiek chór bez nut, nie zawsze miał do dyspozycji fortepian czy pianino, ale były cztery głosy i brzmienie chóru, czy chórków rewelersów, było wspaniałe.

W miarę upływu czasu, pragnąc szerzej rozwinąć działalność kulturalną wśród młodzieży, prof. Joch zorganizował teatr amatorski nazywany przez niego oficjalnie "Kółkiem Dramatycznym".

Na pierwszy ogień poszła lekka komedia pt. "Los nr 13" (nie pamiętamy autora sztuki). Po jej premierze mieliśmy trochę kłopotów. Zarzucono nam, że sztuka zawierała cechy antysemityzmu. Kluczową postacią był Żyd nazwiskiem Szwarz, przedwojenny "handeł". Grałem tę postać osobiście, świetnie ucharakteryzowany przez prof. Jocha i wygłaszałem swoje kwestie w przedwojennym języku (tak, jak rozmawiali nasi Żydzi na Kresach). Postać tego Żyda wzbudzała jednak w sumie sympatię i taka też była intencja autora sztuki. Na szczęście nie zakazano nam jej wystawiania. Nie była wprowadzanie górnych lotów, ale zdobyliśmy dzięki niej publiczność, nie tylko polską, i nie tylko skałacką.

Ambicją prof. Jocha było wystawienie klasyki, toteż następną wystawioną przez nas sztuką były "Śluby Panieńskie" Fredry. W dalszym planie były "Grube Ryby" Bałuckiego, ale skończyło się tylko na wyznaczeniu obsady i rozpisanie ról; zespół uległ zdekompletowaniu wskutek wysiedlania Polaków do zachodniej części Kraju w nowych granicach. Większość członków i sam kierownik - wyjechali.

Musimy tu nadmienić, że działalność prof. Jocha nie zakończyła się na Skałacie. Po dotarciu pierwszego transportu wysiedlonych z tego miasta do Strzelc Opolskich, profesor nie tylko zajął się organizowaniem gimnazjum i komisji weryfikującej poziom uczniów (nie wszyscy posiadali świadectwa z tajnych kompletów), ale powrócił też do swej pasji. I jeszcze przed rozpoczęciem roku szkolnego 1945/1946, po uzupełnieniu zespołu nowymi osobami, daliśmy przedstawienie złożone z tańców, skeczów i monologów. Wystawiliśmy także komedię "Los nr 13". Zorganizowany został również młodzieżowy chór kościelny pod kierunkiem nauczyciela muzyki i śpiewu, p. Słowika.

Przypominamy sobie zabawną historię związaną z wystawieniem komedii w Strzelcach Opolskich. Było lato 1945 roku, a więc już po wojnie. Mieliśmy problem z podaniem do wiadomości publicznej, że nasz amatorski teatr daje przedstawienie. Jak zrobić plakaty? Drukarnie jeszcze nie działały, były kłopoty z papierem i farbami. Papier udało nam się w końcu zdobyć ale do dyspozycji mieliśmy tylko farby do malowania ścian, które "nie chciały się papieru trzymać". Ktoś poradził, aby rozpuścić je w roztworze cukru. Tak też zrobiliśmy i ręcznie wykonane kilka sztuk plakatu rozwiesiliśmy w różnych punktach miasta. Następnego dnia tłumy ludzi stały przed tymi plakatami, usiłując rozszyfrować ich treść pod warstwą much, które posilały się "cukrową"

farbą...

Przepraszamy, że tak zagalopowaliśmy się i odchodząc od tematu, opuściliśmy nasze Kresy.

Próbowaliśmy odtworzyć nazwiska uczestników tych wspania- tych przeżyć z naszej młodości, ale pamięć trochę zawiodła. Z dziewcząt występujących w teatrze poza Jadzią Laskowską, Wandą Podolską i Ewą Popiel, pamiętamy jeszcze córkę profesora - Danusię, Renatę Gudowską, Danusię Oszywę. Z chłopców - poza mną i bratem Henrykiem - Zbyszka Jocha, Zbyszka Felczaka i jego brata (nie pamiętam imienia), Ryśka Lenarta i Józka Lisowskiego. W chórze rewelersów śpiewali: Jaś Daszkiewicz, ja z bratem Henry- kiem i czwarty nasz kolega, którego nazwiska nie możemy sobie przypomnieć. W chórze "teatralnym" i kościelnym śpiewali wszyscy uczestnicy naszego "teatru", a także inne nasze koleżanki i koledzy, z których pamiętamy jedynie Marysię Chruszczówną, Gustka Mur- myłę, Dzidkę Popiel, Basię Strzałkowską, no i naszą główną solistkę - Wandę Podolską.

Pamiętamy jeszcze ten dreszcz tremy przed wyjściem na scenę i nagły przypływ spokoju i opanowania po trafnym podjęciu pierwszej kwestii. Pamiętamy specyficzną atmosferę kulis, pełną nieokreślonego podniecenia, ale też humoru i młodzieńczej radości życia. Nie obywało się przy tym bez kawałów robionych kole- żankom i kolegom. Np. w jednej ze scen, w której Wanda Podolska mdlała, podano jej zamiast wody czysty spirytus. Wanda miała jednak tupet i jakoś tę dawkę alkoholu przełknęła, który zresztą spotęgował autentyzm jej otrzeźwienia z omdlenia. Oczywiście autorom tego kawału oberwało się później solidnie...

Zdarzały się czasami drobne potknięcia, np. skrócenie kwestii o jakąś frazę lub wejście z kwestią nie w porę. Ale od czego był niezastąpiony sufler - prof. Joch? Im więcej graliśmy, tym więcej nabieraliśmy doświadczenia, a nawet improwizowaliśmy przy tekście nierytmowanym, czego widzowie nawet nie zauważyli.

Nasze wrażenia i odczucia przeżywane podczas tych spotkań z "teatrem" były wówczas bardzo szczere, ich autentyzm do dziś nie podlega wątpliwościom. Zapewne pogłęбилиśmy w tym czasie naszą wrażliwość, byliśmy przecież młodzi.

Nasi rówieśnicy z tamtego okresu - Żydzi i Ukraińcy miesz- kający w Skałacie, nie brali udziału w naszej działalności kultu- ralnej. Chociaż ci pierwsi (z 8-mej Średniej Szkoły z polskim języ- kiem nauczania) uczestniczyli w pożegnalnej herbatce na zakończenie działalności "teatru", którą zorganizowały nam nasze Mamy w maju 1945 roku.

Tyle naszych wspomnień na temat "teatru", który był częścią życia kulturalnego polskiej młodzieży pod drugą okupacją sowiecką w Skałacie. Są to oczywiście tylko fragmenty, jakie nie uleciały jeszcze z

pamięci, a które może warto zachować.

Informujemy naszych Czytelników, iż Redakcja "Głosów Podolan" wydała zbiorek kilkudziesięciu wierszy "kresowych" śp. Adama Majora. Chętni mogą go otrzymać w Redakcji w cenie 6 zł.

Ewa Popiel-Barczykowa
Warszawa

*“Na Podolu biały kamień
Podolanka siedzi na nim...”*

O Podolu inaczej

W naszych “Głosach Podolan” piszemy dużo o historii, etnografii, martyrologii, o zwyczajach i życiu ludzi z tego rodzinnego dla nas obszaru - z Podola. Przypominamy nazwiska i życiorysy sławnych i mądrych, tam urodzonych. Przypominamy miejsca i daty wydarzeń historycznych, tych chwalebnych i tych smutnych, jakie się tam zdarzyły. Będziemy jeszcze o nich pisać długo, dopóki starczy nam sił życiowych, żeby przekazać je tym, którzy po nas zostaną.

I to jest właśnie najważniejsze w treściach naszych biuletynów.

Ale pozwólcie Państwo, że podzielę się z Wami trochę innymi informacjami dotyczącymi tej ziemi. Są one również ważne, może mniej od wyżej wymienionych, może nie są tak powszechnie znane, ale posiadają swoją rangę, istnieją w szerokim obiegu informacji krążących w nieco innym zestawie dziś uprawianych nauk - w naukach przyrodniczych. Przyczyniają się także do utrwalania wiadomości o Podolu. Myślę, że my z Podola, powinniśmy je poznać, chociaż trochę o nich wiedzieć, i także chronić od zapomnienia.

Ludzie od najdawniejszych czasów dążyli do poznania otaczającego ich świata istot żywych, próbowali je badać, porządkować, nazywać i opisywać. Od czasów Arystotelesa znany jest w naukach przyrodniczych zwyczaj nadawania nazw roślinom i zwierzętom. Nadawano też nazwy skamieniałym szczątkom istot żywych - skamieniałościom, a także innym obiektom przyrodniczym i geograficznym. Od połowy XVIII wieku, dzięki pracom Karola Linneusza⁸, organizmom żywym i ich szczątkom nadaje się nazwy podwójne (dwuimienne), stosując tzw. nomenklaturę binominalną w języku łacińskim. Pierwsza nazwa określa przynależność badanego organizmu do rodzaju (tj. jednostki systematycznej o wyższej randze), druga - odnosi się do gatunku - (jednostki o niższej randze).

Podwójne nazewnictwo obowiązuje (bez większych zmian) do dziś i jest używane przez przyrodników do przekazywania informacji innym, kolejnym badaczom.

⁸ Szwedzki przyrodnik - Carolus Linnaeus (1707 - 1778), autor dzieła “Systema Naturae”, którego dziesiąte wydanie w r. 1758 było początkiem powszechnego stosowania nomenklatury binominalnej. Zastosował ją w tym dziele przy opisie wszystkich znanych mu wtedy 4300 gatunków zwierząt.

Np. obecna nazwa psa domowego - *Canis familiaris* Linnaeus, 1758 - informuje, że gatunek "domowy" = *familiaris* - należy do rodzaju "Pies" = *Canis* (rodzaj piszemy zawsze dużą literą), a nazwisko umieszczone na trzecim miejscu - Linnaeus - dotyczy autora nazwy Linneusza, który w 1758 r. gatunek ten ustanowił. (Nazwy rodzaju i gatunku piszemy zawsze kursywą).

Od dawna znany jest również zwyczaj nadawania organizmom nazw gatunkowych, pochodzących od nazw miejscowości, gdzie znaleziono je po raz pierwszy lub gdzie występują licznie i często. Mając na uwadze formy występujące w określonych regionach geograficznych - mówimy o gatunkach endemicznych (czyli o endemitach⁹).

W odniesieniu do Podola - endemitów jest wiele, są wśród nich rośliny i zwierzęta specyficzne dla tego obszaru. Są także skamieniałości występujące licznie w "białych kamieniach na Podolu" - (tych z piosenki) oraz w innych skałach spotykanych w naturalnych odsłonięciach (kamieniołomach), w korytach rzek podolskich a także w prowadzonych przez geologów wierceniach.

Skamieniałości uznawane są od czasów Williama Smitha¹⁰ za "dokumenty" istotne przy ustalaniu względnego wieku skał, w których występują. Są więc nośnikiem informacji o środowisku, w którym żyły lub w określonym czasie zostały pogrzebane. Stanowią źródło informacji o następstwie osadzania się warstw skalnych. Można je porównywać ze skamieniałościami z innych obszarów ziemi. Są więc bardzo pożyteczne i ważne w geologii, która odtwarza również historię skorupy ziemskiej.

Większość znanych skamieniałości "podolskich" pochodzi ze skał bardzo starych, z osadów ery paleozoicznej, (z granicy okresu syluru i dewonu), czyli sprzed 400 milionów lat. Niektóre są geologicznie młodsze, znajduje się je w osadach okresu kredowego ery mezozoicznej, sprzed 80 mil. lat. Jeszcze inne występują bardzo licznie w osadach młodszych (z okresu trzeciorzędu ery kenozoicznej), czyli w skałach sprzed około 35 mil. lat.

Lista "podolskich" skamieniałości jest bardzo obszerna, obejmuje szczątki organizmów różnych grup systematycznych, od pierwotniaków do kręgowców. Podolskie nazwy nadali im przede wszystkim Polacy, ale nie tylko. Podole było bowiem obszarem penetrowanym przez przyrodników z krajów sąsiednich (zwanych wtedy fizjografami) już w XVIII wieku.

Oto niektóre ze skamieniałości "podolskich", wybrane dla ewentualnego zapamiętania tylko ze względu na miło i swojsko brzmiące ich nazwy gatunkowe a niekiedy też rodzajowe:

Przewiertka podolska = *Terebratula podolica* Zaręczny, 1874

Rozkolec tarnopolski = *Murex tarnopolensis* Friedberg, 1934.

⁹ Gatunki roślin i zwierząt występujące tylko na małych ograniczonych terenach.

¹⁰ Inżynier angielski, geolog (1769 - 1839), twórca geologii historycznej, który pierwszy uznał, iż badane przez niego warstwy skalne zawierają skamieniałości, jakie żyły tam w czasie osadzania się tych warstw.

Niektóre z nich pochodzą z XIX wieku, z biegiem lat ulegały w kolejnych opracowaniach weryfikacji, ale część przetrwała do dziś nawet we współczesnych podręcznikach. W tych zweryfikowanych nazwach autor gatunku pisany jest w nawiasach.

Do najstarszych należą nazwy dwu różnych rodzajów małżów¹¹, opisane przez Edwarda Eichwalda (1795 - 1876), przyrodnika i lekarza kurlandzkiego, z osadów trzeciorzędowych w okolicach Białozurki, Buchłowa, Kamionki, Zalesiec i Żukowiec:

1. *Ervilia podolica* (Eichwald, 1830)
2. *Mactra podolica* Eichwald, 1830.

Następne, to nazwy 4 różnych rodzajów ślimaków (też osadów trzeciorzędowych) z miejscowości: Borki Wielkie, Glińsko k/ Podhorców, Tarnopol, Tarnord, Zborów i Żółkiew:

1. *Cerithium podhorcense* Hilber, 1882,
2. *Murex tarnopolensis* Friedberg, 1934,
3. *Potamites zboroviensis* Friedberg, 1934,
4. *Turbella podhorcensis* Frieberg, 1934.

Z osadów kredowych w okolicach Nałuża, Czartoryi (obecna nazwa Mirolubowka) i Kamionki n/Seretem oraz Nagórzanki i Przewłoki n/Strypą pochodzą skamieniałości ramienionogów¹² opisane jako *Terebratula podolica* Zaręczny, 1874.

Z osadów sylurskich w miejscowości Bilcze n/Seretem znane są skamieniałości drobnych małżoraczków¹³ - *Beyrichia bilczensis* Alth, 1874.

W białych wapieniach tego samego wieku, ułożonych w pryzmach na placu przed Katedrą w Kamieńcu Podolskim, oglądaliśmy w 1994 r. skamieniałości ogromnych głowonogów¹⁴ - *Ortoceras podolicum* Alth, 1874. Przypuszczam, że pochodziły z odsłoneń skał sylurskich jakie są widoczne w głębokim jarze rzeki Smotrycz, okalającej miasto.

Z osadów dewońskich w Michałkowie i Filipkowcach n/Nieczława¹⁵

¹¹ Gromada morskich i słodkowodnych mięczaków z dwuskorupową muszlą (skorupki prawa i lewa) zbudowaną z węglanu wapnia z domieszkami substancji organicznych i innych związków chemicznych.

¹² Typ morskich bezkręgowców osiadłych, z dwuskorupową muszlą złożoną z substancji organicznych i fosforanu lub węglanu wapnia (skorupki: grzbietowa i brzuszna), przyczepiającą się do podłoża mięsistą "nóżką". Wewnątrz muszli dookoła otworu gębowego wykształcone dwa spiralne "ramiona", wprawiają w ruch wodę niosącą drobne organizmy jako pokarm.

¹³ Gromada drobnych, morskich i słodkowodnych skorupiaków (od 0,5 do 5 mm dł., formy kopalne osiągały 30 mm). Ciało osłonięte dwuskorupowym pancerzykiem chitynowym (skorupki: prawa i lewa), silnie zwapniałym.

¹⁴ Głowonogi to gromada najbardziej rozwiniętych morskich mięczaków z wapienną muszlą o bardzo zróżnicowanej budowie.

¹⁵ Wg mapy WIG z 1934 r. - Nieczława. (Przyp. red.).

pochodzą szczątki najstarszych wymarłych już stawonogów - trylobitów o nazwie *Proetus podolicus* Alth, 1874. Z osadów tego wieku w okolicach Zaleszczyk pochodzą skamieniałości pierwotnych, starych kręgowców bezszczękowych - *Pteraspis podolicus* Alth, 1874, a także nowy ich rodzaj *Podolaspis* Zych, 1931.

Najwięcej "podolskich" skamieniałości pochodzi z osadów górnego syluru i dolnego dewonu, odsłaniających się w korytach rzek: Seretu, Nieczławy i Zbrucza. Są to przeważnie skamieniałe ramienionogi, opisane przez polskiego paleontologa Romana Kozłowskiego (1889 - 1977), prof. Uniwersytetu Warszawskiego, stanowiące do dziś przedmiot dalszych opracowań rewizyjnych w Polsce i na świecie. Oto niektóre z nich:

1. *Spirifer podolicus* Szajnocha, 1889,
2. *Mutationella podolica* Siemiradzki, 1906,
3. *Chonetes dniestriensis* Kozłowski, 1929,
4. *Chonetes zbrucensis* Kozłowski, 1929 i nowy ich rodzaj *Podolella* Kozłowski, 1929 opisany z tzw. "warstw borszczowskich" z okolic Łanowiec i Wierzchniakowiec n/Nieczławą.

Obok "podolskich" nazw skamieniałości, istnieją w geologii historycznej nazwy odnoszące się do niektórych charakterystycznych warstw skalnych, jakie wyodrębniono z Podola i opisano po raz pierwszy, nadając im nazwy pochodne od podolskich miejscowości. Jest ich mniej i z biegiem czasu interpretacja ich ulegała zmianom. Do dziś używanych należą "warstwy borszczowskie". Wprowadził je do literatury geologicznej w 1874 r. Alojzy Alth (1819 - 1886), prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nazwa odnosi się do łupków marglistych z wkładkami wapieni, odsłaniających się w dolinie Nieczławy: od miejscowości Szmańkowce i Dawidkowce w pow. czortkowskim (na ptn. od Borszczowa) - aż do ujścia Nieczławy do Dniestru. Zawierają one liczne skamieniałości ramienionogów, o których wspomniałam wyżej. Wiek geologiczny "warstw borszczowskich" określany jest obecnie jako dolny dewon.

Druga "podolska" nazwa w geologii historycznej to "warstwy czortkowskie", które opisał w 1889 r. polski geolog Władysław Szajnocha (1857 - 1928), prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego. Są to również łupki - ale ilaste, zawierające dużo skamieniałości różnych grup zwierzęcych, opisanych także przez Kozłowskiego. Odsłaniają się w brzegach Seretu w okolicach Czortkowa, w Białej, Wygnance, Uhryniu, w Milowcach, Szypowcach, w Bilczu, Kasperowcach, aż do ujścia Seretu do Dniestru. Wiek "warstw czortkowskich" określany jest także jako dolny dewon.

W latach 60-tych geologowie radzieccy wprowadzili dla "warstw

borszczowskich” i “czortkowskich” nową nazwę - “piętro tiwerskie”¹⁶, którego wiek określili na dolny dewon, a miąższność (grubość tych warstw) na Podolu na około 200 m.

Następna “podolska” nazwa to “warstwy skalskie” od nazwy miasteczka Skała Podolska n/Zbruczem - wprowadzona także przez Altha w 1874 r. “Warstwy skalskie” odnoszą się do wapieni z wkładkami margli i łupków ilastych, z bardzo licznymi skamieniałościami, ale słabo zróżnicowanymi pod względem systematycznym. Wiek geologiczny “warstw skalskich” określany początkowo jako sylurski, obecnie odpowiada granicy między sylurem górnym a dewonem dolnym. “Warstwy skalskie” odsłaniają się wzdłuż brzegów Zbrucza, od Satanowa przez okolice Husiatyna, Czabarówki, Sidorowa, Skały Podolskiej, aż po Kudryńce i Dżwinogród (do ujścia Zbrucza do Dniestru).

Te liczne odsłonięcia “białych kamieni”, a także skał o innych zabarwieniach na Podolu, były przedmiotem wielu żmudnych badań nie tylko polskich przyrodników i pozostawiły w literaturze fachowej trwałe ślady w postaci znanych i ważnych opracowań naukowych.

Jan Raniczkowski
Wymiarki

Urodziłem się w Kamieńcu Podolskim. (Wspomnienia) Cz. I

Mój dziadek, Wincenty Komarnicki posiadał w Kamieńcu zakład obuwniczy. Po towar jeździł aż do Odessy. Przyjął do pracy polskiego szlachcica prawosławnego Stefana Raniczkowskiego, którego polubił, bo był zdolny w rzemiośle i znał się na modzie francuskiej. A najbardziej dlatego, że miał w sobie polskość i patriotyzm. (Mamusia często nam mówiła, że car wiele polskich rodzin zmusił do prawosławia). Nakłaniał więc dziadek swoją córkę Janinę żeby wyszła za niego za męża, ponieważ Stefan oznajmił dziadkowi, że ją kocha. Dziadek był z tego ogromnie zadowolony, gdyż Stefan stał się automatycznie jego doradcą i zastępcą. Według słów Mamusi, posłuszna córka chcąc uszczęśliwić ojca wyszła za męża, i przywiązała się do męża.

Dziadek zmarł przed moim przedwczesnym urodzeniem się (w

¹⁶ Zapewne od nazwy grupy Słowian wschodnich Tywerców, zamieszkujących w IX - XI w na ziemiach między Dniestrem, Prutem i Dunajem. (Przyp. red.).

siódmym miesiącu). Lekarz przygotowywał Mamusię do przykrej wiadomości, że przeżyję tylko czas do naturalnego porodu, a po tym okresie mogę utrzymać się przy życiu zaledwie dwa lata. (Skończyłem już 80 lat i żyję nadal!).

Na naszym terenie rozszalała się rewolucja (1917 roku) i nie było już komu określać lat mojego życia. Ojciec zmarł w 1920 roku na tyfus, jak wielu innych ludzi w tym czasie. Ja miałem wówczas dwa latka, a brat Staszek zaledwie dwa miesiące. Pozostała z nami babcia Paulina, ciocia Karola i Mamusia. Wujek Ludwik ukrywał się, ponieważ nie chciał iść do bolszewickiego wojska, a młodszy wujek Marian pozostał w ochronie prowadzonej przez polskie zakonnice, później już opanowanej przez bolszewików.

W Kamieńcu mieszkaliśmy przy ul. Soborowej 4. Naprzeciw naszego domu znajdował się magistrat. Później w tym miejscu był jakiś sklep czy magazyn sprzętu rolniczego, a na miejscu naszego domu - tylko pusty plac. W pewnej odległości od domu znajdował się kościół, w którym zostałem ochrzczony. W tamtym czasie ogro- dzenia wokół domu już nie było. Mieszkająca naprzeciw żydowska rodzina zachowywała się spokojnie, natomiast Żydówka mieszkająca za naszym ogrodem bardzo nam dokuczała. *Koniec z Pola- kami! Polski już nie będzie!* - mówiła.

W tym czasie jedni czekałsi wchodzili do naszego domu, inni wychodzili. Penetrowali mieszkanie i zabierali co im się podobało. Czekalci byli przekonani, że uda się im pochwycić wujka Ludwika. W tym czasie (był rok 1924) aresztowano Mamusię za wysyłanie listów i wymianę różnych rzeczy na żywność. Pewnego wieczoru przyprowadzili ją do domu, nie odstępując na krok, a po chwili ponownie zabrali. Po kilku dniach przyprowadzili Mamusię tylko w koszuli, rzekomo po to, aby pożegnała się z babcią i dziećmi. Było ich dużo wszędzie, na podwórzu, w ogrodzie, otoczyli cały dom. Potem wypychali Mamusię na zewnątrz, a mnie odepchnęli od niej bagnetem. Była już noc. Babcia położyła nas spać. Co otworzyłem oczka, widziałem babcię modlącą się w swojej kapliczce, znajdującej się naprzeciw naszego pokoju. Modliła się zawsze do Królowej Polski słowami *Boga Rodzico*. Modliła się też, żebyśmy nie zostali "Moskalami". Przy nas, dzieciach - siedziała ciocia Karola.

Gdy wujek Ludwik przyniósł kiedyś wiadomość, że Józef Piłsudski jest w Tarnopolu, babcia mówiła: *Józef jest w Tarnopolu, będzie i tu na Podolu*. O Piłsudskim mówiła zawsze *Józef*.

Mamusia opowiadała nam już w Tarnopolu, że czekalci wieźli ją potem samochodem przykrytym plandeką z resztą skazanych więźniów - kobiet (w tym zakonnice) i mężczyzn. Wszyscy byli nadzy, tylko Mamusia w koszuli. Samochód zatrzymał się w nocy nad długim rowem. Wyłapywano z samochodu po jednej osobie, słyhać było wystrzał,

potem wzywano następną ofiarę. Kiedy przyprowadzili Mamusię nad brzeg wspólnej mogiły, a czekista cofnął się dla oddania strzału, Mamusia przeżegnawszy się przeskoczyła rów, i pobiegła przed siebie w ciemną noc. Gonili za nią. Zaczęło brakować jej sił, ale na żadne podwórko nie chciała wbiec, ponieważ wiedziała, że gospodarstwo spala a wszystkich zamordują za ukrycie skazańca.

Resztkami sił wbiegła, nie zastanawiając się, wprost na ogromnego psa, który rzucił się na uwięzi jak szalony, i wcisnęła się do jego budy. Pies coraz mocniej ujadał, aż podnosił się na tylne nogi. Czekiści wpadli do zagrody w wrzaskiem: *gdie ana?* Gospodarz wyszedł z chaty i pyta o co chodzi? Pies nadal szaleje, a czekiści wyjaśniają: *Żeńszczyna uderła s maszyny*. Gospodarz tłumaczy, że nikogo nie widział. Czekiści powtarzają: *zdieś wbieżała. Możej być pognała priamo w pole* - i pobiegli dalej. Po chwili pies się uspokoił i siadł na odległość uwięzi.

Mamusi powróciła świadomość rzeczywistości. Ale jak teraz wyjść z budy, przecież pies ją rozszarpie. W domu gospodarzy światło zgasło. Wysuwa się więc Mamusia wolniutko z budy, nie spuszczać z psa oczu. Jest już poza jego zasięgiem, a pies nadal siedzi bez ruchu. Podeszła pod okno chaty i zapukała. Gospodarz pyta: *Kto wy?* *To ja uciekłam* - mówi Mamusia. Polecił jej wejść szybko do chaty, załonił okna i wypytuje, gdzie się ukryła. *W budzie psa* - odpowiedziała zgodnie z prawdą. A gospodarz na to: *Przez was byliby psa zastrzelili, okropnie na nich ujadał. Jak wyszliście z budy?* - *Wolniutko* - mówi Mamusia - *pies tylko na mnie patrzył i siedział spokojnie.* - *Ot, dobry mądry pies, wpuścił i wypuścił* - dodał z podziwem gospodarz.

W chacie tej poczęstowano Mamusię gorącym mlekiem i dano pod pachę zawinięty w szmatę podpłomyk. Mamusia podzięko- wała i ruszyła w drogę w sukience i chustce podarowanej jej przez gospodynię. Gospodarz wyprowadził ją i wskazał kierunek. Dotarła szczęśliwie do miasteczka Skala Podolska, znanego jej już od wujka Ludwika. Tu uchodźcy zza Zbrucza wsiadali bezpłatnie do pociągu idącego do Tarnopola.

Cofam się teraz do roku 1923. W domu - w Kamieńcu Podolskim - znajdowali się: babcia Paulina, Mamusia, ciocia Karola, ja i mój młodszy brat Staszek. Wujek Michał z córką Emilią znajdowali się we Francji, wujek Ludwik miał jakieś konspiracyjne kontakty z Tarnopolem, a wujek Marian został w ochronce. Dziadek i Ojciec już nie żyli. W tym roku Mamusia wzięła mnie ze sobą do ochronki, aby zabrać stamtąd wujka Mariana. (Zdaje mi się, że budynek ochronki znajdował się przy kościele). Gdy Mamusia pozdrawiała siostry *Pochwalony Jezus Chrystus* a siostra odpowiadała *Na wieki wieków* - wówczas rozmawiały ze sobą szeptem. Jeśli odpowiadała *Zdrastwuj*, Mamusia chwyciła mnie za

rączkę i uciekaliśmy. Nie udało się Mamusi zabrać wujka Mariana z ochronki. Bolszewicy zrobili spis wszystkich dzieci. Zabronili zamykania drzwi wejścio- wych do budynku, jedni czekałi wchodzili tam, inni wychodzili. Sądziłi, że pochwycą tam wujka Ludwika.

Mamusia zdobyła gdzieś gotowe kluski, ugotowała i już je jemy, a tu wchodzi czekista. Kobiety wystraszyły się okropnie, bo nie słyszały jak wchodził. A on powiedział tylko, że ma także małe dzieci. Mamusia wsypała mu trochę suchych klusek do torebki. Czekista powiedział: *Spasibo! Ja wychodzę a wy bądźcie ostrożni* - i wyszedł. Zjedliśmy resztę klusek na chybca, a babcia modliła się w swojej kapliczce. Za chwilę weszło dwóch innych bolszewików. Spenetrowali mieszkanie i zabierali co chcieli, mówiąc: *eto wsio nasze*.

Babcia zabierała nas - wnuczków - codziennie idąc po wodę do studni¹⁷. Nie chciała zostawiać nas w domu, choć ciocia Karola o to prosiła. Bała się, żeby czekałi nas nie zabrali. Pewnego ranka babcia zostawiła nas jednak z ciocią. Przyszła wtedy znajoma pani (mieszkała daleko za rzeką¹⁸) i zabrała nas do siebie, żebyśmy mogli pobawić się ze znajomymi chłopcami. Ciocia Karola zrobiła z chustek dwa zawiniątka. Dzień był śliczny - słoneczny, do rzeki bliżutko. Pani, z którą szliśmy, kazała nam się rozebrać i wykapać. Potem, bardzo zadowolonych, ubrała nas i poszliśmy dalej. Nadje- chała furmanka. Pani rozmawiała z gospodarzem po rosyjsku, więc nic nie zrozumieliśmy. Kazała nam wsiadać na wóz, sama wsiadła także. Wkrótce usnąłem. Gdy było już ciemno obudził nas woźnica. Zabrał nasze zawiniątka, a mnie z bratem wziął ktoś na ręce, i wniósł do mieszkania, ulokował na zapiecku i zaciągnął zasłonkę. Przykucnęliśmy obaj w kąciu i ponownie usnęliśmy przytuleni do siebie. Było zupełnie ciemno. Nagle usłyszeliśmy głos wujka Ludwika. Odsunięto zasłonkę i w słabym świetle zobaczyłem wujka, który wołał: *Janek, Staszek nie bójcie się! Chodźcie do mnie*. Wziął nas na ręce, posadził na ławie i kazał jeść podplomyk i pić mleko..

To był już rok 1924. Wujek podziękował za posiłek, wziął nas obu na ręce i poniósł w ciemną noc polnymi drogami, mocno sapiąc i pocąc się z wysiłku. W pewnej chwili zamajaczyło przed nami coś ciemnego i ogromnego. Wujek szybko zbliżył się do tego czegoś, co okazało się stodołą. Posadził nas przy jej drzwiach i dał do zjedzenia po kawałku placka¹⁹.

Gdy my pożywialiśmy się, wujek otworzył wrota stodoły i coś tam w słomie grzebał. Potem wepchnęliśmy się razem w zrobioną przez niego

¹⁷ Ciekawy jestem, czy nadal istnieje w Kamieńcu ta studnia z fajką...

¹⁸ Smotrycz.

¹⁹ Nie w dzisiejszym znaczeniu. Z braku chleba, pieczono w czasie wojny na płycie kuchennej podplomyki z ciasta (mąka rozrobiona wodą).

norę. Tu będziemy spali. Zasnęliśmy smacznie i bez- piecznie z wujkiem. Ale Staszek obudził się, a może piszczące myszy go obudziły, a wujka nie ma?! Myszy nadaj piszczą i tańczą, nasłuchujemy czy wujek nie nadchodzi. Znowu usnęliśmy. Obudził nas szelest odgarnianej słomy i prąd chłodnego powietrza. Wujek zawołał, abyśmy przyszli coś zjeść, a potem pójdziemy do Mamusi. Dostaliśmy po kubku mleka i po kawałku podplomyka. Wujek też się posilił. Nadal była noc. Pocieszył nas, że Mamusia jest już niedaleko.

Wujek znów dźwigał nas na rękach. Ja miałem wtedy 6 a braciszek 4 lata. Po pewnym czasie ten sam widok przed nami - ciemna, duża bryła. Pod drzwiami kolejnej stodoły odpoczęliśmy i wujek powiedział, że tu będziemy jeszcze raz spali, a Mamusia już na nas czeka. Gdy obudzimy się, do Mamusi będzie już blisko. Wujek znowu wymościł w słomie norę i wśliznęliśmy się do środka. Przytuliwszy się do wujka z obu stron, zasnęliśmy spokojnie. Chciałem mocniej przytulić się do wujka, a jego ... nie ma. Obudziłem Staszka. Myszy tak samo piszczą jak poprzednio, szeleści słoma pod ich nóżkami. Przytuleni do siebie czekamy na powrót naszego opiekuna. Skrzypnęły ogromne wrota i wujek woła byśmy wyszli ze schowka napić się ciepłego mleka.

Jak dobrze na świeżym powietrzu, myszy nie hałasują, smakuje mleko i pachną placki pieczone na kuchennej płycie.

Wujek znowu niesie nas na rękach, ale teraz idzie jakoś inaczej, bacznie się rozgląda, inaczej stawia nogi, mocniej sapie i więcej ma potu na policzkach. Przez całą drogę nie widziałem żadnych wiosek, tylko te dwie stodoły i same pola. Wujek wędrował z nami przez dwie noce. Nie umiem powiedzieć ile mogło być kilometrów.

Nagle zabłysło dalekie, małeńkie światełko. Wujek jakby chciał biec... Światelko jednak szybko zgasło, wujek legł na roli, przycisnął nas do siebie i nakazał: *Cicho teraz! Bardzo cicho bądźcie!* Doleciał nas stęp koni idących bardzo wolno. Szły długo, wreszcie słychać je było coraz słabiej.

Wujek uniósł głowę. *Szybko wstawajcie* - powiedział do nas. Chwycił nas obu jak szczeniaki. Światelko znowu się ukazało. Biegąc wzdłuż rzeczki²⁰ wujek "wyrzucił" Staszka. Zauważyłem, że ktoś go chwycił. Złapałem się wujka mocniej przestraszony, ale ten szarpnął mną i także "wyrzucił". Ktoś złapał mnie w powietrzu, a Staszek stał obok mnie. Szukałem wujka oczyma, ale on coś tam grzebał na roli, potem przeskoczył na naszą stronę i pobiegliśmy razem w kierunku światła w oknie. Weszliśmy do jakiegoś mieszkania. Mamusi tu nie było, ale byliśmy już w POLSCE¹ Wykąpano nas w drewnianej balii, ubrano w czystą bieliznę i ubranka, które już na nas czekały. Wujek powiedział, że

²⁰ Zbrucza.

tarnopolskie.

Jakie tu inne jedzenie. Na stole smaczna bułeczka z masłem i słodkie kakao. Niedaleko znajduję się stacja kolejowa, słysząc przejeżdżający pociąg. Rano idziemy rozmawiać z Mamusią. Na stacji kolejowej w miasteczku Skala Podolska wujek przyłożył coś do ucha i zapytał: *Jańcia, to ty?*

- *Tak, jestem na miejscu, a dzieci?* - usłyszeliśmy głos Mamusi. I zaraz:

- *Stasiu, czy słyszysz mnie? A jak Janek?* - wujek przyłożył mi to coś do ucha i usłyszałem: - *Janeczku, jutro przyjadę po was.* - A ja krzyczę: - *Mamusiu proszę wyjść z tego pudełka! Jak Mamusia tam weszła?* Usłyszałem szloch Mamusi i słowa: *Jutro będę z wami!*

Następnego dnia rano usiedliśmy po modlitwie, razem z miejscowymi dziećmi, do śniadania. W mieszkaniu, przy stole, a nie w nocy przy drzwiach stodoły. Potem poszliśmy z wujkiem na stację kolejową. Wciąż patrzę na tę czarną skrzynkę i zastanawiam się, jak Mamusia z niej się wydostała. Słysząc sygnał nadjeżdżającego pociągu, syczenie pary, wyszliśmy na peron. Jakie ogromne zaskoczenie. Mamusia wysiada z pociągu i płacze. Podbiegliśmy do niej. Ściska nas, całuje, jej łzy obmywają nasze policzki.

Bardzo szybko znaleźliśmy się z powrotem w mieszkaniu policjanta czy wojskowego - nie pamiętam. Po serdecznych rozmowach i po obiedzie, pożegnaliśmy się z gospodarzami. Znowu płacz. My - za chłopcami, a starsi także mają mokre oczy i policzki.

Na stację w Skale Podolskiej zajeżdżał pociąg do Tarnopola. W pociągu radość ogromna. Jesteśmy w Polsce! Pociąg do Tarnopola bardzo się spieszył. Stacja tu większa, dużo torów, wysiadło wiele ludzi. Przy wyjściu odbierano bilety. Pan w kolejowym mundurze przywitał Mamusię słowami: *Całuję rączki pani Raniczkowska, szczęśliwie z dziećmi i bratem.* (Policjanci Mamusię znali, ponieważ po przybyciu do Tarnopola otrzymała pracę w kantynie Oficerskiej Szkoły Policyjnej). A naprzeciw czekał jednokonny fiakier. Policjant z paskiem pod brodą witając się, pocałował Mamusię w rękę i podał rękę wujkowi Ludwikowi. Uśmiechnęli się do siebie. Wujek siadł na koźle, Mamusia posadziła nas po swojej jednej i drugiej stronie.

Zatrzymaliśmy się w baraku szkoły żeńskiej im. Królowej Jadwigi przy ul. Kościuszki. W pokoju, do którego weszliśmy, dużo osób witało się z Mamusią i wujkiem Ludwikiem, a panie nas ściskały. Mamusia swój przydział fasoli w puszkach komuś oddała, a my dostaliśmy rogaliki z masłem i kawę z cukrem z wojskowej kostki.

c.d.n.

W naszym Kresowym środowisku wydarzyły się w bieżącym roku trzy bardzo miłe uroczystości - trzy Jubileusze. I tak się złożyło, że wszystkie dotyczą Koleżanek i Kolegów z czortkowskiego gimnazjum:

- Dominikanin, O. Ambroży z Lublina (w prywatnym życiu Kazimierz Adamski) obchodził niedawno 50-lecie swego kapłaństwa. Życzenia i kwiaty składaliśmy mu w dniu 6.09 - na dorocznym spotkaniu Czortkowian w Warszawie.

- Michalitka, S. Sabina (Stanisława Moroz) w Miejscu Piastowym - obchodziła Jubileusz 50-lecia swoich ślubów zakonnych. Życzenia i gratulacje od koleżanek powędrowały pocztą.

- Członek naszego Klubu - p. Jan Hrymniak i Jego Małżonka p. Anna - obchodzili we wrześniu 60-tą rocznicę zawarcia związku małżeńskiego. Po uroczystej Mszy św. w intencji Jubilatów, w której uczestniczyło wielu członków Klubu, pozostały piękne fotografie.

SPIS TREŚCI

Stanisław JASTRZĘBSKI	
Oko w oko z banderowcami (Wspomnienia małoletniego żołnierza AK). Cz. IV	2
Hipolit CHOJECKI	
Zanotowane przed 55 laty.....	6
Z ŻAŁOBNEJ KARTY	10
Wspomnienie o Adasiu Snarskim.....	12
LISTA OFIARODAWCÓW	12
Irena SARNECKA - DERKACZ	
Przy szopce	14
Grudzień	15
Jan HRYMNIAK	
Niezapomniane strony rodzinne. Ziemia Czortkowska. Cz. II	16
Jadwiga i Zbigniew ORSZULAKOWIE	
Nasz "Skałacki Teatr" w latach 1944-45.....	21
Ewa POPIEL-BARCZYKOWA	
O Podolu inaczej.....	25
Jan RANICZKOWSKI	
Urodziłem się w Kamieńcu Podolskim (Wspomnienia). Cz. I	29